

Księga wyjścia – 12

25 maja 2019

Ballada o liście dryfującym w butelce

Felieton o trzeźwieniu w przeddzień wyborów niespecjalnie wpisuje się w aktualny nurt. Kraj żyje emocjami i wyborczymi, i niegasnącym echem po filmie braci Sekielskich. Czyli emocje rozgrzane do czerwoności – dobry kolor, a ja zamiast dołączyć o grona komentatorów i „przewidywaczy” konsekwentnie ciągnę ten swój wózek w odcinkach.



Postaram się – tak dla zasady – odnieść się do tego co wszyscy, ale to na końcu. Wrócę też do tematu, o którym miałem już nie pisać. Ale historia, bardzo istotna, która niedawno miała miejsce jest z tym ściśle związana.

W wyborczym szale, gdzie każdy pochłonięty jest czytaniem mądrych lub głupich prognoz, z wypiekami na twarzy szukając wzmianki o sobie lub swoich faworytach, ten tekst jest jak list dryfujący w butelce gdzieś po falach oceanu. Mało prawdopodobne, że dotrze do adresata. Tego, na którym mi zależy. Prędzej znajdzie go na jednej z plaż Ameryki

łacińskiej, gdy po latach fale wyrzucają go na brzeg. Alternatywna możliwość jest taka, że Greenpeace zutylizuje go wraz z toną śmieci podczas sprzątania akwenów. Wystarczy tych tradycyjnych, wstępnych metafor i spróbuję przejść do rzeczy.

Napisałem spróbuję, bo jak oddać całą paletę emocji, które targają człowiekiem na krawędzi. Idealnie byłoby trzeźwieć w przyjaznym otoczeniu. Najlepiej wśród bliskich lub przyjaciół. Czasami jednak trzeba zmierzyć się z tym samemu. A to z każdym dniem staje się trudniejsze.

Są różne etapy trzeźwienia, po upływie „miodowego miesiąca” bywa różnie. Najpierw dezorientacja, potem przytłoczenie codziennością i wreszcie utrata wiary w sens tego co robię. Gdy jeszcze dojdzie osobiste „trzęsienie ziemi”, to racjonalnie jest przepracować pięć etapów żałoby. Racjonalnie, ale jak być racjonalnym w sytuacji nieracjonalnej. Nie wystarczy przestać pić, by zacząć trzeźwo myśleć.

Zaczę od emocji. Coraz częściej mam ochotę zawrócić, ponownie zatopić się w minionym „podświecie”, machnąć ręką na cały włożony dotychczas wysiłek i zapomnieć o życiu. Miotam się nie znajdując miejsca, a tym bardziej sensu. Dno jest straszne, brudne i odrażające. Ma jednak pewną „zaletę” – oczywiście na opisywanym etapie, bo obiektywnych zalet tam nie znajdziecie. Na dnie nie ma nic do stracenia, skutecznie pozbawia złudzeń, marzeń, planów i ambicji. Przewartościowuje świat i zamiast żyć wyborami lub aferą pedofilską, gromadzić kolejne dobra, urządzać mieszkanie czy snuć plany, które zwykle się walą – iść ze spuszczonym wzrokiem skanując chodniki w poszukiwaniu jak najdłuższych niedopałków, cieszyć się znalezionym petem lub butelką denaturatu, na którą udało się wykombinować cztery złote. Trzeźwość czasami przerasta.

Stałem w martwym punkcie. Zrealizowałem wszystko co zaplanowałem i zatrzymałem się zdeorientowany nie wiedząc co dalej.

Dotychczasowe trzeźwienie przypominało wbieganie po schodach, czasem było łatwiej, czasem trudniej, ale zawsze jakoś pokonywałem kolejne stopnie. Nawet jeśli robiłem to resztką sił, to mozolnie piałem się w nadziei, że dojdę do właściwego miejsca. Teraz czuję się tak, jakbym stanął na samej górze zdziwiony, że skończyły się schody. Mniej więcej jak na słynnym pomniku. Wcale nie świadczy to o sukcesie, bo nie chodziło o zdobycie tego piętra, tylko o tym, że nie wiem co dalej.

Zawrócić? To oznacza powrót na dno, krok dalej – spadnę. Dotychczas celem była droga z wyznaczonym celem. Jasno wytyczony szlak, określony kolejnymi stopniami, kiedy te się skończyły zniknął również cel.

Uwielbiana niegdyś samotność zaczęła doskwierać. Doszedłem do wniosku, że faktycznie, może być fantastyczna, jeśli podzielimy ją z kimś bliskim, gdy jednak ten ktoś odchodzi, to pozostawia po sobie nie tylko pustkę, którą trzeba zagospodarować, ale całe, wspólnie zbudowane miasto. I już nic nie jest takie samo jak wcześniej. Coś co było sposobem na życie staje się nagle koszmarem.

Wśród tych wszystkich problemów z jakimi zmagają się zdrowiejący ludzie, doszły kolejne. Dotychczas miejsce w którym mieszkam i gdzie postanowiłem osiedlić się już na stałe, było takim punktem przejściowym. Wpadałem tu na kilka dni, by dalej ruszyć w świat. Nie zbudowałem więc żadnych trwałych relacji, poza dawnymi znajomymi. Żadnych bliższych – o przyjaźni nie wspomnę. Mój stary znajomy, o którym ostatnio pisałem pojechał na jakiś czas do szpitala. Pół biedy, gdyby tu na miejscu, przynajmniej bym go odwiedzał, ale jest w Warszawie. Od kilkunastu lat, żyje na kredyt z wirusem, który zabił lidera zespołu Queen.

Drugi problem to regularna, indywidualna terapia. Mam pewien uraz do miejscowych placówek. Kiedyś pewna dyplomowana terapeutka uznała, że jestem opętany i chciała odesłać mnie do

egzorcysty twierdząc, że niejednemu tak pomogła. Wyciągnęła nawet jakiś zeszyt, i wskazując na niego powiedziała, że ma tu listę tych, którzy jej posłuchali i nadal żyją, natomiast ci którzy odrzucili ten rodzaj pomocy – poumierali. Wspomniała, że zapewne ktoś mnie przeklął i trzeba to odczynić – mówiła to z lekkim zamyśleniem, patrząc skupionym wzrokiem gdzieś ponad moją głowę. Napiszę to jeszcze raz bo trudno uwierzyć – specjalistka terapii uzależnień. Pisałem kiedyś już o tym, więc nie będę się powtarzał w szczegółach.

Pojechałem więc do Lublina, do przychodni, gdzie przeszedłem cały – dziesięcioletniowy – proces leczenia. Było to pierwsze leczenie, które naprawdę mi pomogło, dlatego postanowiłem tam szukać pomocy. Niestety, z dawnego personelu zostało już niewielu terapeutów, a ci najlepsi, na których mi zależało propozycje pracy w innych miastach. To jeszcze nie tragedia, można zaryzykować i zacząć pracę z innym specjalistą. Ważne by zawiązała się jakaś wzajemna relacja i zaufanie. Gdy jednak wszedłem by spróbować, trafiłem na starych znajomych „terapeutów” (cudzystów zamierzony) z zamkniętego ośrodka Monaru, w którym spędziłem ponad siedem miesięcy. Wystarczająco, by zorientować się w ich „kompetencjach”. Kolejny ślepy strzał – pomyślałem już lekko załamany tym szukaniem. Zostają jeszcze terapeuci z detoksu. Tu też jest pewien problem, ale bardziej techniczny. Terapeutka, która najbardziej mi pomogła i przed którą potrafię się otworzyć, nie prowadzi indywidualnych konsultacji. Jestem więc na etapie szukania, mam nadzieję, że z całego zespołu znajdzie się ktoś, kto ma jeszcze wolne miejsca.

Wiele osób pewnie pomyśli, że przecież jest lekarz, z którym mam niemalże ciągły kontakt i co dwa tygodnie jeżdżąc po swoje leki idę również do niego na wizytę. Psychiatra to lekarz, który ma pod opieką setki pacjentów, a że jest najlepszy, trudno wymagać, by specjalnie dla mnie wcielił się w rolę psychologa i wymagać, by poświęcał mi co tydzień godzinę na

terapię. Właśnie dlatego terapią zajmują się specjalnie przygotowani terapeuci. W skrócie wygląda to tak, że lekarz przywraca do życia, a terapeuta musi przekonać, że ma to sens. Dlatego niezbędne jest to zaufanie i pełna otwartość.

Jak już wspomniałem na wstępie, miałem już omijać temat samego uzależnienia, ale ponieważ nie ma dnia, bym nie znalazł wśród wiadomości w folderze „inne” informacji od kogoś, kto szuka pomocy, chcąc nie chcąc wciąż gdzieś tym tematem żyję, a jeśli tak, to opisanie go jest jedynym sposobem, by nie dźwigać dodatkowego ciężaru.

Wybrałem akurat ten, bo młody chłopak tak zmanipulował matkę, że ta przekonana, że mu pomaga wpycha go w coraz większe bagno. Nieświadomie oczywiście.

Czasami – bardzo rzadko – udaje się pokierować rozmówcę, i nawet namówić na mozolną drogę poczynawszy od szpitala. Nawet pomóc umówić miejsce na oddziale. Tyle mogę, terapeutą nie jestem, ale rozumiem też niemoc i paraliż, który dopada najbliższych. Mogę podzielić się własnymi doświadczeniami, próbować uświadomić co i w jakiej kolejności zrobić. Chociaż każdy przypadek jest inny, to kłamstwa i manipulacje bliskimi są wspólną cechą nałogowców. Czy ten kto prosi o pomoc do tego szpitala dotrze, to już inna sprawa. Prawdę mówiąc czasami już mi głupio dzwonić do ordynatora i prosić by zarezerwował komuś miejsce, tylko dlatego, że uwierzyłem na słowo. Mogą sami dzwonić, ale rozumiem ten stan i poczucie niemocy.

Ostatnio napisała do mnie zrozpaczona matka. Opisała mi w skrócie przypadek syna, podałem jej swój numer telefonu i poprosiłem by zadzwoniła. Byłem przerażony jej opowieścią. Syn, chłopak uzależniony od wszystkiego, wmówił jej, że musi brać Suboxon. Nie była to decyzja lekarza, lecz tego chłopaka – jej syna. Powiedział jej, że to jedyna jego szansa. Nie znała się na mechanizmach choroby, dawała mu pieniądze – i to nie małe – wierząc, że idzie do dilera (?) by kupić lek. Była tego tak pewna, że przy całej swojej wiedzy, erudycji i

elokwencji, nie potrafiłem wytłumaczyć, że robi największy błąd i że syn ją zwyczajnie oszukuje. Nie uwierzyła. Ponieważ zapewnił ją, że może zrobić mu testy.

Też tak czarowałem bliskich, wiedziałem, że po odpowiednio wypowiedzianej, deklaracji zdezorientowany niedowiarek uwierzy. A przecież matka nie będzie sprawdzała „prawdomówności” syna. Są zresztą środki, które w testach nie wychodzą – ale to tak na marginesie.

Zadzwoniła następnego dnia, że właśnie dała synowi stowę i czeka na niego, bo poszedł kupić ten Suboxon. Powiedziałem jej, że zrobiła jedno z największych głupstw jakie tylko mogła zrobić. Próbowwała przekonać mnie i mam wrażenie, że również siebie o słuszności tej decyzji. Głównym argumentem było to, że bez tego nie zaśnie. Opadły mi ręce.

Powiedziała również, że za kilka dni jest umówiony w Monarze, zapytała czy dadzą mu tam od razu Suboxon czy będzie musiał poczekać. Usiłowałem wytłumaczyć, że są to leki narkotyczne i podaje się je pod ścisłym nadzorem lekarza, który stopniowo będzie regulował dawkę, aż dojdzie do właściwej. Powtórzyłem, że jest to lek bardzo ścisłego zarachowania którego nie rozdaje się lewo i prawo, nie kupuje na ulicy i jeśli nawet faktycznie ktoś nim handluje, to z pewnością nie kosztuje stu złotych. Na oddziale słyszałem, że na czarnym rynku tabletka chodzi po osiem złotych i jest to jakiś sposób na to, by odpowiednio rozcieńczony podać dożylnie, co da efekt morfiny. Próbowiałem namówić na szpital, a dopiero później ewentualny wybór terapii. Zaoferowałem, że zadzwonię do ordynatora i zaklepię mu miejsce. Jednocześnie tłumaczyłem, krok po kroku kolejność działania zachwalając tamtejszy personel, który z pewnością pomoże synowi w znalezieniu ośrodka.

Kilka dni później zadzwoniła ponownie z pytaniem, czy jestem w stanie załatwić szpital z dnia na dzień. Przed rozmową z ordynatorem tego obiecać nie mogłem, ale tydzień wcześniej przypadkowo dowiedziałem się, że jest mało pacjentów.

Niezależnie jednak od posiadanej wiedzy, obiecać nie mogłem. Umówiliśmy się na telefon tego samego dnia wieczorem. Kilka razy prosiłem już lekarza o przytrzymanie miejsca dla kogoś, kto się nie pojawił, więc zanim zadzwoniłem postanowiłem poczekać na telefon od tej kobiety.

Minął już tydzień. Już się nie odezwała. Współuzależnienie często jest gorsze niż sam nałóg, bo składa się głównie z cierpienia, taką osobą bardzo łatwo manipulować. Pewnie gdy chciała postawić sprawę na ostrzu noża i w jakiś sposób nakłonić syna na szpital, ten użył wszystkich swoich możliwości manipulacji, obiecał wszystko co niemożliwe żeby się tylko z tego wykręcić.

Za dwa dni koniec wyścigu, kraj zdominowały wybory i film braci Sekielskich. Nie tylko zresztą kraj, wdarły się do naszych domów, świadomości i z zapartym tchem patrzymy a to w sondaże, a to wchodzimy w dyskusję na temat pedofilii. Po kilku ostatnich, bardzo spektakularnych wypadkach (Duda, Trump czy Bexit), radziłbym ostrożnie podchodzić do prognoz i badań. Zresztą rozbieżności są tak duże, że chyba nikt nie ma wątpliwości, że sondaże robione są pod tezę.

Zwolennicy PiSu uparcie będą wskazywać słupki na których ich kandydaci biją wszystkich na głowę – to akurat jestem w stanie zrozumieć, bo ta partia nie ma nic wspólnego z racjonalną oceną. Świetnym przykładem jest pomysł powołania komisji, która – z tego co mówił prezes – zamierza ścigać Polańskiego. Dziwi mnie natomiast, że upłynął tydzień od premiery filmu, a nic nie słyhać o tym by CBS weszło do kurii, lub jakiejś parafii i przynajmniej zabezpieczyło ich komputery.

Odnoszę wrażenie, że pomimo twierdzeń, że „umiem demokracja” to wciąż nasza mentalność jest binarna – zerojedynekowa, albo jesteś z nami i nie wolno mieć zastrzeżeń, albo jesteś przeciwnikiem. Mówię tu o zastrzeżeniach dotyczących kandydata lub partii czy koalicji, z którą się zgadzamy. Kult liderów i akrobacje słowne, by wytłumaczyć jakąś ewidentną głupotę, zamiast potraktować to jako cenną radę życzliwego wyborcy,

zrobią z wujka, brata, sąsiada politycznego wroga, który podniósł rękę na świętość.

Podzielone społeczeństwo, będzie prowadziło wojny plemienne, powstaną kolejne niesnaski w rodzinach, tylko dlatego, że ktoś ma inne poglądy, lub nie wielbi kogoś, kogo wielbić powinien. Oparłem się tutaj na pewnym wpisie znajomego, który zapadł mi w pamięci. Autor wytknął Biedroniowi nienaturalny dla niego ton głosu, krzyk, który burzy dotychczasowy, pozytywny wizerunek kandydata. Ale gdy po takim wpisie pojawi się hejt, to autor albo zmieni listę, albo oleje całe te wybory.

Bo przecież od dawna wiadomo, że rozsądna opinia to taka, która w sposób umiarkowany wyraża nasze poglądy.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info